

Ciebie tylko jedną kocham

– Ciebie tylko jedną kocham – mówi do mnie i patrzy zaszklonymi oczami, a zaraz potem odwraca się i rzyga na kwiatki babci Wandy. No ja wiem, to jest wyznanie jakich wiele. Pewnie tyle, ile ludzi na świecie. Każdy to kiedyś do kogoś powiedział i są to słowa sprane jak spodnie ogrodniczki, co je zakłada do gnoju wujek Włodek. Ale musicie mi uwierzyć, dla mnie wtedy to jak scena z bajki. A bardziej jak z serialu, bo mam kilka lat, może z osiem albo dziewięć, i nigdy wcześniej nikt mi tego nie powiedział. Tylko w *M jak miłość* słyszałam, jak sobie to mówią Piotrek i Kinga, ale oni to po cichu, po kryjomu, bo ojciec Kingi nie chce takiego chłopaka dla swojej córki i zabrania im się spotykać.

Nie wiem, co mam na to odpowiedzieć. W serialu odpowiadają, że ja ciebie też, albo: o boże, bądźmy już zawsze razem, wyjedźmy stąd, wyjedźmy na koniec świata, żyjmy tam i kochajmy się, jakoś sobie poradzimy. Tylko że ja nie odpowiadam jak Kinga Piotrkowi, bo to nie jest taka scena i to nie jest mój chłopak, co z nim chodzę, tylko to jest mój wujek najukochańszy, z którym jeżdżę hondą civic czerwona stuningowana i słuchamy disco polo na cały zycher przy otwartych szybach. I kurzymy na całą wieś, bo jeszcze wtedy nie ma szosy wylanej, tylko normalna piaskowa droga z dołami, wybojami.

Spuszczam głowę. No co ty, seplenię i pluję sobie na koszulkę, co mi ją matka kupiła na bazarze w Stoczku. Mam jeszcze kilka takich koszulek, tylko inne kolory, ale o tym wtedy nie myślę. Myślę, co odpowiedzieć. Nie myślę o tym, czy warto w ogóle odpowiadać, czy nie powiedzieć: weź, nie pierdol, nachlałeś się i gadasz. Bo wtedy jeszcze nie wiem, jak to jest być nawalonym kolejny dzień z rzędu i jak to jest mówić takie rzeczy, a potem ich w ogóle nie pamiętać. Jeszcze tego nie wiem. Wtedy wiem tylko, że to chwila wyjątkowa, chwila jak z serialu i że muszę na to poważnie odpowiedzieć, bo może, kto wie?, stanę się bohaterką *M jak miłość*.

Nie mam odwagi podnieść głowy i spojrzeć na niego. Czuję, że mam ślisko pod pachami. Sucho w środku, ręce mi się kleją. Krzyżuję nogi, nóżki jeszcze wtedy. Zaplątuję je razem tak, żeby się nie dało rozplątać. Nie to co teraz, teraz mam tak grube nogi, że nie dałoby się ich zaplątać wcale, a i w ogóle nie da się na nie patrzeć, są tak grube, tak spasiono. Ale wtedy mam na sobie krótkie wypalone słońcem żółte spodnie i strupy na kolanach, bo już mieszkam w mieście i przewracam się na beton, jak gram w gałę z chłopakami. Mija czas, dużo czasu, całe godziny mijają, jak tak siedzę i patrzę na moje splątane nogi. I wydobywam coś z siebie nagle, jakiś dźwięk, całkiem niespodziewanie dla siebie i dla niego chyba też. Aż podskoczył, wzdrygnął się, jakby się złąkł.

Żadne słowo to nie było, tylko pisk do niczego niepodobny, więc odchrząkuję, próbuję jeszcze raz i już idzie mi lepiej.

Aha, tak, a co z twoją żoną, dziećmi, mówię, bo przecież ma żonę i dzieci. No więc jak to, że tylko mnie. Tylko mnie ten. Kocha. Mówię z trudem, z mlaśnięciem nawet, bo odkleja mi się język od podniebienia. Nie wiedziałam, że się przykleił i głupio mi jest, i myślę, głowię się, czy on usłyszał to mlaśnięcie, czy nie usłyszał. Czy tylko się przestraszył mojego nagle piskliwego głosu. Ale widzę, że oczy mu latają i wyciera twarz ręką. I widzę świecący pasek, grubą linię nierówną mokrą od śliny i żółte plamy od rzygów. Myślę wtedy, żeby mnie tylko nie chciał jakoś dotykać tą ręką czy coś, bo i ja się wyrzygam.

– No ich też – odpowiada, ale odpowiada tak, jakbym dopiero ja mu o nich przypomniała. Jakby wcześniej o nich nie pamiętał, jakby w ogóle nie wiedział wcześniej, że ma żonę i trójkę dzieci. – Ich też, ale ciebie, ciebie, wiesz. Ty jedna mnie rozumiesz, ty mnie wspierasz, wiesz, o co chodzi. Ja wiem, o co chodzi, tak powiedział. Ale ja nie wiem, o co chodzi, chociaż chciałabym wiedzieć. Mam bardzo mało lat, osiem albo dziewięć, więc ja wtedy zupełnie nie wiem, o co chodzi. Może o to, że jak wraca z pracy i krzyczy na swoją żonę, że ma mu obiad podać, to mi puszcza oczko wtedy. Drze się, że dlaczego jeszcze niegotowy, bo przecież wiedziała, o której kończy pracę i o której wróci. Ja siedzę wtedy z boku i obserwuję, nie mam odwagi nic powiedzieć. A on mi wtedy oczko puszcza.

Ona jest przestraszona dużo bardziej ode mnie na pewno i nagle w biegu zaczyna przygotowywać ten obiad. Przeprasza, że kartofle jeszcze za twarde, że nie zdążyła, zagapiła się, tyle spraw do ogarnięcia, uprzątnięcia. I już na drugim palniku patelnię stawia, olej wlewa, rozgrzewa, kielbasę smaży pokrojoną w poprzek i jajka od kur z kurnika. I mówi mu jeszcze nieśmiało, cichutko, że nie zawsze o tej samej wraca, że często o bardzo różnych godzinach wraca, tak że różnie to bywa. Ale widzi wtedy jego wzrok i że się przybliżyła do niej i się pyta, że co kurwa, że ty będziesz dyskutować? Obiadu nie zrobiłaś, a dyskutować będziesz? I ona milknie, i już tylko się tym smażeniem zajmuje i sprawdza nerwowo co kilka sekund kartofle, czy już gotowe. Dziubie widelcem, dogląda, czy może podawać.

Może o to rozumienie mu chodzi. Jak śpimy w jednym pokoju, bo w domu tylko dwie izby są i jak jestem na wakacjach, to śpię razem z nimi. Razem z nim, z jego żoną i trójką jego dzieci na leżance dostawionej. Może ja go tak rozumiem, że nic nie mówię, jak wraca w nocy i dzieci budzi, bo zaczyna krzyczeć. Dzieci są małe, bierze je na ręce i wybudza, a raczej wybudza już wcześniej, swoim krzykiem. I mówi, że to są jego dzieci i że jak Aśce, jego żonie, to jego wracanie późno się nie podoba, to ona może wypierdalać. A dzieci są jego, bo to on je zrobił, bez niego to by ich nie było i ona to se kurwa może. Prawie upuszcza te dzieci, bo nie może ich utrzymać. Wymachuje rękami, całym ciałem wymachuje, krzyczy, że ona jest kurwą i że ma wypierdalać, jak tak. Dzieci płaczą, on je zostawia w końcu, wrzuca do łóżka, bo już nie może znieść ich płaczu i każe im zamknąć mordy. A ją zaczyna bić po twarzy i odpychać. Ja jestem schowana wtedy

i zakrywam głowę kołdrą. Nie płaczę, ani nie krzyczę. Nic nie mówię, chcę, żeby mnie nie było, żeby sobie nie przypomniał o mnie. Może o to tu chodzi, może to jest rozumienie, że on mnie nie widzi wtedy, choć mógłby widzieć.

– Wiesz, o co mi chodzi – wyrwa mnie nagle z tych myśli, bo chyba zauważył, że się zastanawiam, w czym go rozumiem, i znowu mówi: ty jedna mnie rozumiesz. No i to mnie wpędza nagle w jakieś – ja wiem? – poczucie winy?, powołuje do tego, żebym naprawdę wiedziała, rozumiała. I ja czuję, że go rozumiem, mimo że on bije swoją żonę i swoje dzieci budzi późno w nocy, ale nie umiem nazwać tego rozumienia. Wszyscy mu mówią, że nie może tak być, że on musi iść do Kiczek na leczenie. A ja nie mówię nic. Ja mam wtedy osiem albo dziewięć lat. Ja mu nie mówię, a on mi ciągle puszcza oczko. Albo nie puszcza, bo mnie nie widzi, ale to lepiej, jakby miał widzieć.

No ja tak, ja wiem, o co tobie chodzi, mówię w końcu, bo wiem, że gdybym powiedziała, że nie wiem, to by pomyślał, że jednak go nie rozumiem. A ja bardzo chcę rozumieć, chcę być ważna, chcę, żeby wiedział, że go wspieram i rozumiem. Nie chcę, żeby był mną rozczarowany i żeby mnie zaczął zauważać, jak wraca w nocy nachlany. I zapisuję sobie w głowie, że od tej pory muszę naprawdę go wspierać i wiedzieć, o co mu chodzi, tak na poważnie do tego podejść. I zawsze być przy nim, bo on mnie kocha, kocha prawdziwie, nawet bardziej niż swoją żonę i swoje dzieci. I to ostatnie już myślę z satysfakcją, że jestem wyjątkowa, że lepsza, że on mnie kocha i tak dużo dla niego znaczę. Jestem cała spięta nadal, nie mogę wykonać żadnego ruchu, gestu, choć on cały czas się rusza, stoi nade mną i spluwa na ziemię. I jak tak jeszcze stoimy kilka chwil, to on patrzy na drogę i mówi nagle, że z majówki już wracają. Więc on już będzie szedł, bo zaraz mu znowu będą dupę truć. I puszcza mi oczko jeszcze raz i mówi, że on prędko nie wróci teraz, że w nocy może dopiero i żebym mu dała te dziesięć złotych, pożyczła znaczę, co mi je matka dała parę dni temu. Widział, że mi dała. I że odda na pewno niedługo. A ja się zrywam wtedy, najszybciej jak potrafię, i biegnę do skarbonki, żeby zdążyć mu dać przed przyjściem tamtych z majówki. I udaje się, daję mu szybko wszystkie pieniądze, co mam, bo jeszcze dodatkowe dwa złote znalazłam, i cieszę się, że tak może na mnie polegać.

Miasteczko

Zanim do miasta poszłam, to było jeszcze miasteczko. Ale to dopiero teraz wiem, że miasteczko, bo wtedy myślałam, że wielkie miasto, że już nic większego nie ma. Był duży klub piłkarski Mazowianka, gdzie chłopaki grali w niebieskich koszulkach z czerwonymi paskami. A kto znał takiego chłopaka z Mazowianki i kibicował na trybunach, to dumę czuł i był kimś ważnym. Może nie tak ważnym jak sam piłkarz w niebieskiej koszulce, ale też. Ja nie znałam nigdy żadnego piłkarza. Myślałam przez to, że jestem nikim i że zawsze z ostatniego rzędu na trybunach będę patrzeć na tych szczęśliwych, co ich bliscy, ich chłopaki, grają i strzelają bramki. I że tylko im się będą przeżycia należały jak w filmie i cała ekscytacja, a mi nie. Niedużo się myliłam, chociaż gówniara jeszcze byłam.

Oprócz Mazowianki był kościół, biały, murowany, nie to, co na wsi. No i supermarkety. A potem, z czasem, to nawet Biedronkę pobudowali i Kaufland. Myślałam, że kto w miasteczku jest znany i ceniony, to cały świat ma w garści. Byli ludzie, co w urzędzie miasta pracowali, w bibliotece i w mojej podstawówce. Najpierw ich podziwiałam, że mogą toyotą jeździć, a nie polonezem tak jak my, i pić w soboty piwo z knajpy, chociaż w knajpie dużo drożej niż w sklepie. Potem dopiero zrozumiałam, że ci na szczycie też mówią „w każdym mąc razie”, a w szkole mnie już nauczono, że do takich trzeba z pogardą.

Jak do miasteczka szłam, to babcia mi tylko lizaka serduszko dała na drogę, co się go kupowało u Kiliszczaków po dwadzieścia groszy, no i otrzynózkę, żeby mi sobie zadbała i żeby mi rosła roślina w mieście. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, jak to zrobić, matka mi zasadziła, mnie nie bardzo to sadzenie interesowało. Więcej radości mi lizak serduszko sprawił. Już się zapakowaliśmy do białego poloneza, pamiętam, żeby do miasta jechać. Babcia sama zostawała na wsi i tży miała w oczach. I jeszcze jajka w pośpiechu pakowała, dzemy z parnika i kartofle, a ja już tylko o tym lizaku myślałam, co mi go dała chwilę wcześniej z otrzynózką. I pomachałam jej niby na odchodne, ale dlatego pomachałam, że matka mi powiedziała: babci pomachaj, zobacz, stoi, pa-trzy. Dlatego pomachałam.

Najpierw to się długo oszukiwałam w miasteczku, że mogę być chłopakiem. Jak z ojcem do robotników jeździliśmy, to się przedstawiałam innym dzieciom jako Michał. Podobało mi się to imię, gdzieś je w serialu podpatrzyłam. No i tak jak patrzyłam na siebie w lustrze, jak miałam czapkę z daszkiem niebieską, założoną daszkiem do tytu, to to imię do odbicia pasowało. Włosy już wtedy miałam na chłopaka obcięte, bo raz powiedziałam matce, że jak mnie nie zetnie na krótko, to już nigdy więcej do przedszkola nie pójde. I sukienek nie pozwoliłam sobie zakładać, i spinek wpinać we włosy. Matka zgadzała się na wszystko, chociaż nic o mnie wtedy nie wiedziała i potem była zdziwiona, jak jej wreszcie po wielu latach powiedziałam. Może już wtedy przeczuwała, mimo że miasto okazało się małym miasteczkiem. Może wiedziała więcej, niż myślałam, tylko trudno jej było słowa jakies do tego przypisać i potem zdziwiona była nie tym, co jest, ale tym, że to tak należy nazwać, a nie inaczej.

Bez szkoły łatwiej było być chłopakiem, bo i na podwórku grałam w gałę równo z chłopakami, i nawet lepsza byłam od niejednego. Tyle że nie mogłam już mówić, że Michał, bo wszyscy wiedzieli, jak mam na imię. Na osiedlu tylko ja jedna byłam dziewczyną, ale traktowali mnie jak równego sobie. Razem graliśmy, bawiliśmy się w chowanego i pokazywaliśmy sobie majtki za blokiem. Tylko jak graliśmy mecze z obcymi, z innym osiedlem, to mnie nie lubili, bo grali tylko chłopaki, a dziewczyny kibicowały i piszczały, a ja jedna latałam za piłką. Spocona i w szortach po starszym kuzynie. I nieraz krzyczeli na mnie „babochłop”, i śmiali się, żebym pokazywała, co mam w gaciach, to będzie wszystko wiadomo. Już wtedy trzęsły mi się nogi, jak biegłam, i pocitałam się jeszcze bardziej niż normalnie na meczach ze swoimi. To do dzisiaj mi zostało, chociaż już dawno w gałę nie gram.

Tak naprawdę problemy się zaczęły, jak do szkoły poszłam w miasteczku. Codziennie rano modliłam się, żeby mi się kupę w szkole nie zachciało. Najgorzej to było z łazienki korzystać. Toalety były podzielone na dziewczynki i na chłopców i przez całą podstawówkę nie wiedziałam, czy ja powinnam do męskiej, czy do damskiej. Na przerwach to w ogóle nie chodziłam. Jak chodziłam, to tylko w czasie lekcji. Podnosiłam rękę i mówiłam, że proszę pani, ja do łazienki muszę, nie zdążyłam w przerwie. W przerwie nie chodziłam, bo w przerwie wszędzie były dziewczyny. I w kabinach, i w części z lustrami i umywalką. Przeglądały się w lustrach, malowały sobie błyszczkiem usta, zarzucały sobie włosy na ramiona, kładły ręce na biodra i pozowały jak modelki. Bałam się, że jak wejść, to zaczną piszczeć, że to damska toaleta jest i że dlatego ja tu wchodzę. Że będą sobie szeptać na ucho coś, patrzeć na mnie i chichotać. Że nie będą wiedziały, czy jestem dziewczyna, czy chłopak. Bałam się wzroku dziewczyn i nieswojo mi było przed nimi, przed wszystkim, co dziewczynskie. Przez to ciągle miałam ręce spocone i najbardziej lubiłam, jak nikogo nigdzie nie było.

Do męskiej tylko raz odważyłam się wejść, ale szybko wyszłam, bo przecież chłopaki ze starszych klas mogli mnie przywaużyć. Skąd to można wiedzieć, jak się wygląda w oczach innych, jak się nie wie nawet, jak się dla samego siebie wygląda. Raz tak, raz tak. Ja sama do tej pory nie wiem, czy jestem w końcu dziewczyna, czy chłopak. Czy mądra jestem, czy głupia. Częściej że głupia i że powinnam zamknąć mordę i tylko to robić, co inni chcą i żeby byli zadowoleni ze mnie.

Nie mogłam raz wytrzymać, tak mi się do łazienki chciało, ale ciągle jak szłam, to ktoś był i nie mogłam wejść. Potem w świetlicy jedna dziewczynka, co nasze mamy się znały, się mnie spytała, czy źle się czuję. I jak zapytałam, skąd wie, to mi powiedziała, żebym lepiej poszła do tej łazienki, bo inne dzieci na świetlicy w końcu się zorientują, co mi się stało.

W miasteczku tylko jednego byłam pewna i to dopiero w liceum, jak poznałam Marię. Była dużo starsza ode mnie i najpierw mnie zapytała, czy bym nie chciała jakiegoś wiersza

wyrecytować. Nie znałam żadnych wierszy, bo wiersze były tylko na polskim, co je czyta-
liśmy z zeszytu ćwiczeń *Wesoła szkoła*. Ona mi powiedziała, z jakiej książki mogę wziąć
wiersze i jak się uczyć. Nie powiedziała mi na początku, co to za nauka, ale potem sama
się zorientowałam, chociaż w moim domu nigdy mi o niej nie mówili. Nie było tam żadnych
liczb ani wzorów. A najbardziej w Marii mnie przekonało to, że miała smutne spojrzenie
i raz powiedziała, że można mieć bladą cerę i wory pod oczami, że nie trzeba wcale tań-
czyć i śmiać się, jak się nie chce, chociaż wcześniej byłam pewna, że właśnie tego wszyscy
ode mnie chcą. Ale nawet jak już poznałam prawdę, to nikomu o niej nie mówiłam,
bo wiedziałam, że nikt w miasteczku nie byłby z niej zadowolony.

Całe miasteczko się odmieniło, jak poznałam Marię, chociaż wszystkie bloki i super-
markety pozostawały na swoim miejscu. Może tylko Leader Price wymienili na Tesco, ale nie
jestem już pewna, czy to było wtedy. Chłopaki w Mazowiance dalej grali, ich bliscy dalej
klaskali im na trybunach, ale ja już wtedy byłam gdzie indziej. Chodziłam tymi samymi
uliczkami co wcześniej, ale wydawało mi się, że całkowicie innymi. Wychodziłam z domu
wieczorami, bo wiedziałam, że mogę ją spotkać. Myślałam o tym, że może być na zaku-
pach w sklepie ABC, więc tam chodziłam, chociaż nie miałam nic do kupienia i rzadko
kiedy miałam pieniądze. Starłam się mieć zawsze chociaż na jedną puszkę pepsi, tylko tej
tańszej. I już jak wchodziłam do sklepu i brałam koszyk, to wyobrażałam sobie, że ona tam
jest i na mnie patrzy. Starłam się chodzić pewnym krokiem, mieć minę, jakby na niczym
mi nie zależało i nie patrzeć na nikogo. Chciałam, żeby to ona mnie pierwsza zobaczyła,
patrzyła na mnie i myślała, że jestem taka pewna siebie i zdecydowana. Przechodziłam
przez bramkę z koszykiem i wyobrażałam sobie, że odprowadza mnie wzrokiem. Szłam
przez cały sklep, chociaż dobrze wiedziałam, gdzie stoją napoje, no i zerkając kątem oka,
czy gdzieś nie stoi osoba, która mogłaby być nią. To odgrywanie pewnej siebie sprawiało,
że miałam jeszcze większy ucisk w sercu niż zwykle. Bałam się, co powiem, gdy ją spo-
tkam, czy będzie o czym rozmawiać i czy ona w ogóle będzie chciała. Na wszelki wypadek
nauczyłam się wszystkich wierszy, które mogłyby jej się spodobać. Na tysiące wyjść do
sklepu ABC spotkałam ją trzy razy i to w momentach, gdy na chwilę straciłam czujność
i mogłam mieć głupią minę, gdy patrzyła, albo starą dziurawą bluzę na sobie. Czutałam
wtedy, że już nie będzie chciała słyszeć o ani jednym wierszu, że wydam jej się nieciekawa,
bo jak chodzę sama, to znaczy, że nikt mnie nie lubi i nie mam znajomych. A jeszcze robię
głupie miny, mam brzydką twarz i ciągle się pocę.

Jedyne, czego się jeszcze w miasteczku nauczyłam poza grą z chłopakami w gałę
i życiem z gulą w gardle, to gra na gitarze klasycznej. Nie tylko ja się wstydziłam wsi,
jak się okazało, tego, że mamy poloneza i płytki PCV na podłodze, kiedy większość miała
już panele. Inni w mojej rodzinie też się wstydziło, więc chcieli jakoś dzieci wykształcić,
żeby nie było, że takie ze wsi. Ciotka od strony matki pracowała w miasteczku jako sprzą-
taczką w szkole muzycznej pierwszego stopnia. Dobrze żyła z dyrektorem, bo był miły

dla niej i słuchał jej historii, jak sprzątała mu gabinet po szesnastej. I przychodziła ciotka do nas po pracy, bo blisko miała i czekała na autobus PKS do Wodyń. Piła zawsze herbatę Minutkę i stopy jej śmierdziały po całym dniu roboty, bo buty miała ze Stoczka – tanie i sztuczne. Zawsze wtedy opowiadała, co u Janków, Szymków i Koszalskich. Ale jednego dnia przyszła i co innego od wejścia zaczęła mówić. Nawet butów tego dnia zdjąć nie zdążyła, jak już zaczęła krzyczeć, że się rozmówiła z dyrektorem i że ja, córka jej brata, po znajomości mogę iść na przesłuchanie do szkoły muzycznej.

Nie wiedziałam początkowo, dlaczego ja akurat, bo wcale nie miałam ochoty grać na żadnym instrumencie i w ogóle mnie muzyka nie interesowała. Ale ciotka powiedziała, że przecież raz, jak oglądaliśmy reklamy, to grali muzykę i tylko ja zauważyłam, że grają, a w dodatku miałam przez nią zaszkłone oczy. Nie pamiętałam tego zupełnie, ale nie umiałam ciotce powiedzieć, że wcale nie chcę na niczym grać i w ogóle o tym nie marzyłam. Żeby nie było jej przykro, to powiedziałam, że bardzo się cieszę i że nie mogę się doczekać przesłuchania.

Ciotka mnie zaprowadziła na przesłuchanie, a wcześniej kazała mi się przygotować. Nie wiedziałam, jak mam się przygotować. Nie chciałam śpiewać piosenek, a też żadnych nie znałam, które mogłabym zaśpiewać. Moją ulubioną było *Dragostadintei*, ale nie znałam słów i się wstydziłam, bo tylko jak sama byłam, to ją śpiewałam po swojemu. Poszłam na przesłuchanie i serce mi waliło, bo cała rodzina wiedziała, że mam przesłuchanie i liczyła na mnie, że się dostanę do szkoły muzycznej i że pierwsza w rodzinie będę grała na instrumencie. Pan dyrektor był szeroki, miał opiętą koszulę i siwe włosy. Kazał mi zaśpiewać piosenkę, ale powiedziałam, że żadnej nie znam. Ostatecznie namówił mnie na *Wlazl kotek na ptotek*. Śpiewałam, ale miałam zaciśnięte zęby, bo był blisko, a ja nie chciałam mu chuchać w twarz. Jak zapytał, na jakim instrumencie bym chciała grać, to najpierw długo nic nie mówiłam, a potem, że może na gitarze, na perkusji albo na fortepianie. On na to, że gitarę wymieniłam jako pierwszą, więc może na gitarze. Powiedziałam, że tak, że na gitarze najbardziej bym chciała, chociaż to nie była prawda.

Mysślałam, że nie przyjmą mnie do tej szkoły muzycznej i od razu powiedziałam wszystkim, że źle mi poszło, bo egzamin był bardzo trudny. Zdziwiłam się, że zostałam jednak przyjęta, i czułam, że zrobili to z litości, a nie dlatego, że mam słuch muzyczny i coś umiem.

W szkole muzycznej miałam tanią gitarę i uczyłam się smutnych melodii. Nie chciałam grać akordami piosenek i szant. Nigdy w życiu bym przed nikim nie zaśpiewała. Musiałam to robić, ale wtedy nauka mi zupełnie nie szła. Mój drugi nauczyciel był lepszy. Przychodził i mówił, że mi coś zagra, a może potem ja bym się tego nauczyła. Grał smutne melodie, które mi się podobały i wtedy się ich uczyłam. Ciągle pił kubusia i jadł drożdżówki z budyniem. Zabrał mnie raz do Siedlec na przegląd gitarowy, na którym zagrałam dużo smutnych melodii i zostałam nagrodzona. Był ze mnie dumny i potem na zespole gitarowym zawsze dawał mi do zagrania solówki. Chciałam poznawać więcej ludzi, którzy piją kubusie, ale nigdzie ich nie znajdowałam. W sklepach były pełne półki kubusiów, więc domyśliłam się, że nikt poza nim ich nie kupuje. Czułam, że niedługo

wycofają wszystkie kubusie ze sklepów i on nie będzie już miał takiej radosnej, pomarańczowej twarzy.

Były raz dni mojego miasteczka. Zaplanowali występy artystyczne, śpiewy i grę aktorską na scenie. Inscenizacje bitew, sztandary, recytowanie wierszy o ojczyźnie i grę na gitarze. Moja wychowawczyni wiedziała, że gram, więc kazała mi zagrać przed całą szkołą. Zgodziła się na smutną melodię, więc założyłam czarne spodnie i białą bluzkę z kołnierzykiem. Nie wiedziałam, jak zagram ze spoconymi rękami, ale pozwoliła mi nie wchodzić na scenę, tylko być z boku, pod sceną jakby. Miałam być akompaniamentem dla dwóch kolegów, którzy czytali smutne wiersze o ojczyźnie. Pomyliłam się trzy razy i raz ześlizgnęła mi się ręka z pierwszej struny, jak grałam dźwięk g na trzecim progu, ale potem się okazało, że nikt tego nie zauważył. Po występie podchodzili do mnie ludzie, których nie znałam, i mówili mi, że piękna melodia i piękne wykonanie. Podeszła też wtedy Maria. Udawałam zdziwioną, chociaż dobrze wiedziałam, że jest na dniach miasteczka i widzi, jak gram na gitarze. Szukałam jej wzrokiem dużo wcześniej. Może nawet tylko dlatego się zgodziłam, bo wiedziałam, że będzie i zobaczy, że umiem grać. Podeszła i zapytała, czy bym nie chciała zagrać na gitarze do wiersza, który będzie recytowała jedna dziewczyna na dniach poezji w miasteczku. Odpowiedziałam, że nie znam za dużo wierszy, a z melodii to znam tylko tę jedną, co już zagrałam.

nie dla siebie

Wszystko dzieje się gdzieś poza mną. Czuję to, kiedy wychodzę na popołudniowe spacer z psem. Dostrzegam życie. Obserwuję je jak coś z innej planety albo przynajmniej z zagranicy. Spotykam ludzi w krótkich spodenkach i kolorowych podkoszulkach. W klapkach tradycyjnych, japonkach, tenisówkach i sandałach. Niosą siatki z zakupami, z warzywami, ze świeżymi owocami. Niosą maliny, borówki i czereśnie, które i ja jakiś czas temu niosłam, gdy podjęłam próbę normalnego życia. Kilka dni później musiałam wszystko wyrzucić, bo się zepsuło.

Jest lato i myślę, że to byłby idealny dzień na wyjazd nad jezioro, na działkę, na Podlasie. Czuję to jakoś w powietrzu, ale wiem, że ja już nigdzie nie wyjadę. Kiedyś uwierzyłam, że największą życiową podróż można odbyć z pokoju do kuchni i od wielu lat czekam, aż ta podróż się odbędzie. Bezskutecznie. Odeszli ode mnie już wszyscy, którzy byli mi bliscy. Zastąpili mnie tymi, którzy naprawdę chcieli coś zmienić.

Mam na sobie ciemnoszary dres i już po chwili niewyobrażalnie się pocę. Mam bladą cerę, mimo że jest środek sierpnia, i podkrążone oczy, mimo że śpię ostatnio całkiem nieźle. Nie mogę zrozumieć, dlaczego wszystko mnie omija. Przecież życie nie może być aż tak trudne. Ludzie wyjeżdżają na wakacje, na grilla, do lasu. Umawiają się na plan-szówki i wspólne robienie jagodzianek. I to naprawdę, tak sądzę, nie są ludzie wybitnie uzdolnieni. Dlaczego ja tego nie potrafię? Czasem wydaje mi się, że jestem gotowa, żeby to robić, ale gdy już przychodzi taki moment, że mogłabym, to zaraz się wycofuję i mówię, że mam dużo pracy, zastaniam się jakimś obowiązkiem albo wizytą u weterynarza z psem. Z mieszkań na parterze słyszę rozmowy ludzi, włączone telewizory, muzykę. Czuję zapachy, które dobrze znam z rodzinnego domu, ale których nigdy nie odtworzyłam we własnym mieszkaniu. To zapachy placzków z jabłkami, mielonego z ziemniakami albo smażonego na maśle jajka. Zapachy, które są dostępne tylko gdzieś, gdzie żyją ze sobą ludzie.

To wszystko dzieje się poza mną. Wchodzę do kościoła i mimo że do mszy zostało jeszcze piętnaście minut, wszystkie miejsca, na których mogłabym usiąść, są już zajęte. Nie wiem jak wam, ale mnie często zdarza się w życiu coś podobnego. Często jest po prostu za późno, mimo że nikt nie określił wcześniej godziny, na którą należy przyjść.

Kilka lat temu postanowiłam, że nadam mojemu życiu jakiś kierunek. Zostałam książkową influencerką. Założyłam sobie, że będę czytała nowości wydawnicze i raz w tygodniu recenzowała je na moim Instagramie. To był czas, kiedy jeszcze miałam trochę energii. Na początku wszystko szło pomyślnie. Skrupulatnie wyszukiwałam w Empiku nowości na półce z napisem „Nowości”. Czytałam zgodnie z planem. Robiłam piękne zdjęcia moich książek na różnych tłach dobieranych ze względu na tematykę. Przykładowo: „Wymiary życia” Juliana Barnes’a sfotografowałam na tle leżących na niebie balonów (specjalnie w tym celu pojechałam w odpowiednie miejsce za miasto), nowo wydane wiersze Pessoa w barze „Kawowy Piotruś” (rozważałam opcję wyjazdu do Lizbony,

ale koszty mnie przerosły), a „Cudze słowa” Wita Szostaka w sali wykładowej na warszawskim wydziale filozofii. Recenzje oznaczałam odpowiednimi hasztagami. W trakcie lektury spisywałam też chwytliwe cytaty odpowiednie do umieszczenia w stories, aby otrzymywać dużo serduszek i wiadomości prywatnych. Już po kilku tygodniach liczba moich followersów zwiększyła się dwukrotnie, a dwa wydawnictwa napisały do mnie z propozycją współpracy. Obce osoby lubiły wrzucane przeze mnie zdjęcia, pisały komentarze w stylu: „Ooooo, właśnie miałam czytać!!!”, „No po takiej recenzji, to ja od razu biegnę do księgarnii!!!”, „Podpisuję się pod każdym słowem!!!! Zapraszam do mnie:)”.

Przez chwilę czułam, że to był dobry kierunek, ludzie liczyli się z moim zdaniem, a we mnie rosła radość. Niestety w pewnym momencie (okej, nastąpiło to dość szybko) zauważyłam, że trudno mi się skupić na lekturze. Myślałam tylko o tym, jaką fotografią powinnam opatrzyć dane dzieło i z uwagi na konieczność podróżowania do różnych miejsc w całej Polsce, przestałam wyrabiać się z lekturami. Zmniejszyłam więc liczbę postów. Mimo to niekiedy moje teksty były zwyczajnie kiepskie, bo nie czytałam uważnie albo z tego pośpiechu zupełnie nie wiedziałam, co myślę o danej książce. Bywało też tak, że zdjęcia nie miały odpowiedniej ostrości. Jestem pewna, że ten problem dotyczył tylko mnie, bo inni książkowi influencerzy zamieszczali po trzy recenzje tygodniowo. Najlepsi nawet po cztery, pięć. Do tego fantastyczne zdjęcia, odpowiednie hasztagi, oznaczenia wydawnictw, autorów. Otrzymywali mnóstwo lajków, ich profile rosły w imponującym tempie, a moje konto stawało się coraz mniejsze, bo ludzie zwyczajnie klikali „unfollow”. Podjęłam wprawdzie jeszcze kilka prób wyrabiania się ze wszystkim, ale i tak inni zawsze okazali się szybsi i skuteczniejsi. Pozostawałam spóźniona, choć, jak sami widzicie, starałam się.

Zdarza się też tak, że nie jestem wystarczająco wytrwała, brakuje mi samozaparcia, a ono w dzisiejszych czasach jest bardzo ważne (słyszałam to od kilku osób niezależnie). Kiedyś na przykład ktoś mi powiedział, że jestem dobra w koszykówkę i powinnam przychodzić na szkolne treningi. Byłam na kilku, naprawdę. Okazało się, że jestem jedną z najlepszych zawodniczek i wuefistka chciała mnie wystawić na zawodach w pierwszym składzie. Czułam, że naprawdę mi na tym zależy, podobało mi się, że budzę szacunek u innych i zdobywam punkty dla drużyny. A potem nagle przestałam przychodzić. Niespodziewanie, sama nie wiem dlaczego. Na mojej pozycji zagrała ostatecznie inna dziewczyna, a ja patrzyłam na mecze z widowni i nie mogłam zrozumieć, dlaczego ktoś zajął moje miejsce. Przecież naprawdę chciałam tam być, tylko zabrakło mi nieco siły, by dociągnąć tę sprawę do końca.

Gdy już wybieram ławkę, na której wcale nie chciałam usiąść, przyglądam się Jezusowi na krzyżu. Czy to ten sam Jezus, który spał, gdy była burza na morzu? Do tej pory nie mogę zrozumieć, jak można spać w czasie burzy. Ja nigdy nie śpię, choćbym nie wiem jak bardzo była zmęczona. Nie śpię w burzę nawet, gdy jestem po kilku piwach, a przecież powszechnie wiadomo, że po kilku piwach śpi się jak kamień. Wybudzam się wraz z pierwszymi dźwiękami piorunów albo uderzeniem deszczu o parapet. Wylączę telefon, odłączam z kontaktu wszystkie urządzenia, łącznie z lodówką. Zastaniam okna i chowam się w rogu pokoju. Zazwyczaj cierpliwie czekam, ale czasami

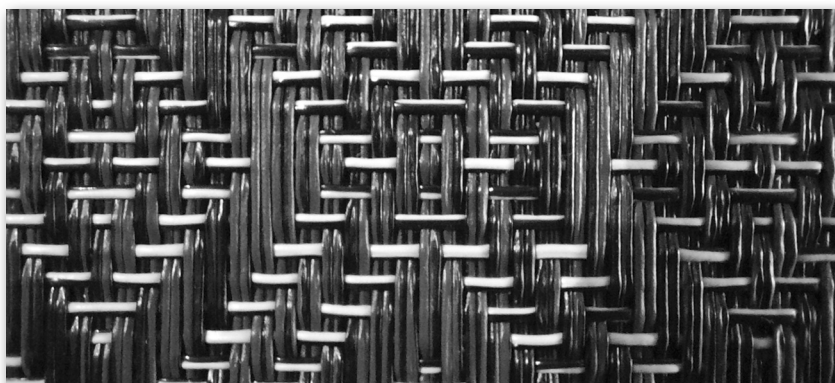
nie mogę wytrzymać, podchodzę i uchylam lekko zastonę, żeby popatrzeć, co się dzieje na zewnątrz. Sprawdzam, czy gałąź dużego drzewa spadła już na jakiś samochód. Czy ktoś idzie ulicą. Czy tak mógłby wyglądać koniec świata. To mnie uspokaja, choć dobrze wiem, co powiedziałyby mama i babcia, gdyby dowiedziały się, co wyprawiam i do jakiego stanu się doprowadziłam. Na pewno nie tak wyobrażały sobie moje życie. W ogóle to obawiam się też, że gdybym była jednym z apostołów, przebywających z Jezusem na łodzi, nie obudziłabym go. Czekałabym tak, jak czekam codziennie w moim mieszkaniu. Jedyne, o co się martwię, to mój pies. On jeden przeżyłby koniec świata, ale nie mam pojęcia, kto podawałby mu wtedy karmę Dolina Noteci.

Nie wiem, czy też tak macie, ale we mnie pogrzeby wywołują uczucie melancholii. Gdy byłam mała i jeszcze niewiele rozumiałam, zawsze podczas pieśni „Anielski orszak...”, zalewałam się łzami, nieważne, czy był to pogrzeb osoby, którą znałam, czy całkiem obcej. Często po prostu prosiłam mamę, żeby zabrała mnie ze sobą na pogrzeb, dlatego mam ich na swoim koncie całkiem sporo. Byłam na przykład raz na pogrzebie naszej sąsiadki z bloku, która czasem opiekowała się mną i moją siostrą, kiedy rodzice byli w pracy. Do tej pory nie wiem, za czym ja wtedy tak płakałam. Niespecjalnie ją nawet lubiłam, bo pachniało jej z ust sfermentowaną gruszką. Jednak wtedy w kościele nagle zdałam sobie sprawę, że już nigdy więcej nie usłyszę jej głosu i nie zjem krupniku, który gotowała. Płakałam przez całą mszę, ale szczególnie przy pieśni „Anielski orszak...”. Miałam może osiem lat i to był ten czas, kiedy ojciec mówił mi, że jestem ponurym dzieckiem. Płakałam, aż brakowało mi tchu i byłam pewna, że nikt nie przeżywa tej straty tak jak ja. Od tamtej pory minęło ze dwadzieścia lat i właśnie ponownie słyszę „Anielski orszak...”. Nie jestem w stanie uronić ani jednej łzy, ale wciąż odczuwam delikatny, bardzo delikatny stan melancholii.

Od czasu częstych wizyt na pogrzebach naprawdę sporo się zmieniło. Ojciec nie mówi mi już, że jestem ponura. Jestem ciekawa, czy kiedykolwiek wierzył, że wskóra coś w mojej sprawie. Teraz już go o to nie zapytam, zresztą, nie miałoby to najmniejszego sensu. Czasem zastanawiam się, jak by to było, gdybym utrzymywała dobre stosunki z moją rodziną. Kiedyś bardzo chciałam, żeby wszyscy z rodziny po prostu się ode mnie odjebali, a teraz, gdy już dzwonią do mnie tylko w urodziny, mam wątpliwości, czy dobrze postąpiłam. Niekiedy widzę na Instagramie zdjęcia znajomych z rodzicami, z „ukochaną siostrą”, z „najlepszym bratem”. Wydaje mi się, że jak ktoś przyjaźni się ze swoją rodziną, to nie może po przebudzeniu myśleć, że jest na świecie całkiem sam. Chociaż oczywiście mogę się mylić.

Siostra jest ode mnie starsza i nie akceptuje mojego stylu życia (tak twierdzi, ale ja wątpię, czy moje życie ma styl). Kiedyś dzwoniła do mnie kilka razy i pytała, czy pójść z nią na lunch, ale mówiłam, że już jadłam, albo że mam makaron z wczoraj i bardzo nie chcę, żeby się zepsuł. Obecnie odzywa się tylko w sprawie prezentów na Boże Narodzenie, a innym rozpowiada, że wali mi w dekiel (to cytat, możecie wierzyć lub nie). Teraz siedzi w pierwszej ławce, o tam, ta w czarnym kapeluszu z dużym rondem. Ona na początku, a ja na końcu. Sami widzicie, jak dużo nas dzieli.

Wszystko dzieje się gdzieś poza mną, bo nawet w tej chwili zdaje mi się, że nigdzie mnie nie ma, a przecież jestem, stoję w tym kościele, widzę ludzi, którzy może mogliby znowu być mi bliscy, gdybym tylko trochę się postarała. Stoję i słyszę list świętego Pawła do Rzymian, dociera do mnie, że nie żyjemy dla siebie i nie umieramy dla siebie, a tak naprawdę jakby nie docierało. Nic już z tego nie rozumiem, chociaż wydaje mi się, że był taki czas, kiedy rozumiałam. I wyrwa mnie w końcu z tych myśli głos jakiegoś mężczyzny, którego wcale nie znam, ale okazuje się, że on mnie zna. „Niech pani idzie tam na początek, tam jest miejsce dla pani, najbliższa rodzina siedzi w pierwszym rzędzie” – mówi mi do ucha, a ja nie wiem, czy mam zostać, czy iść.



Fotografia – Anna Matysiak